

Jak USA jednoczą i umacniają swoich wrogów

21 marca 2008

Po irańskiej rewolucji 1979 r. amerykańskim politykom spodobał się pomysł, by wykorzystać muzułmański żywioł religijny przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Zgodnie z koncepcją opracowaną przez Zbigniewa Brzezińskiego, doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego w gabinecie prezydenta Jimmy Cartera, w strefie, gdzie od Maroka po Pakistan rozciągał się „łuk napięcia”, mógłby powstać „łuk muzułmański” powstrzymujący wpływy sowieckie [1]. Przecież w latach 60. i 70. to właśnie konserwatywne ruchy muzułmańskie pokonały tam i zmarginalizowały partie lewicowe i laicko-narodowe. Po raz pierwszy tendencja ta ujawniła się w Iranie w 1953 r. Zgodnie z proponowanym ujęciem irański fundamentalizm mógłby stać się zarzewiem muzułmańskiego powstania, które podkopałoby sowieckie imperium w jego najsłabszym punkcie.

Stany Zjednoczone próbowały później jeszcze kilku innych strategii na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej, ale dwa cele pozostawały zawsze te same: zwycięstwo w zimnej wojnie i wspieranie Izraela. Zmieniały się tylko metody i sojusze polityczne, częstokroć nawet o 180 stopni. W czasie wojny iracko-irańskiej (1980-1988) Ameryka oficjalnie poparła Irak, a jednocześnie akceptowała dostarczanie przez Izrael broni do Iranu. Konserwatyści związani z Tel Awiem otwarcie starali się wówczas doprowadzić do zwrotu politycznego w stronę Teheranu, gdyż Izrael za głównego wroga uważał laicki arabski nacjonalizm, a nawet wspierał na terytoriach okupowanych Bractwo Muzułmańskie, aby uzyskać przeciwwagę dla Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP). W apogeum tak prowadzonej polityki Stany Zjednoczone zawarły sojusz z Arabią Saudyjską i Pakistanem. To przede wszystkim ten sojusz pozwolił na utworzenie w latach 80. międzynarodowej armii dżihadystów, która stawiała czoła Związkowi Radzieckiemu [2] podczas

konfliktu w Afganistanie.

ARABSKIE PIONKI WASZYNGTONU

W 1990 r., gdy Związek Radziecki chylił się ku upadkowi, Stany Zjednoczone montowały międzynarodową koalicję, by wypchnąć armię iracką z Kuwejtu. Państwa arabskie, od Syrii po Maroko, odpowiedziały na apel, w którym Waszyngton powoływał się na prawo międzynarodowe i rezolucje ONZ. Zapewniano, że nie chodzi o ratowanie zaprzyjaźnionego imperium naftowego, ale o przywrócenie porządku i sprawiedliwości międzynarodowej. Skoro zaś suwerenność Kuwejtu została uratowana, należało wprowadzić w życie wszystkie inne rezolucje ONZ – również te, które domagały się wycofania wojsk izraelskich z terytoriów okupowanych.

Wtedy jednak, pomimo międzynarodowych nacisków, rząd amerykański zdecydował, że nie będzie obalać irackiego reżimu. „Żeby obalić reżim Husajna, trzeba użyć sił zbrojnych, a po jego obaleniu, wprowadzić nowy rząd. Pytanie – kto miałby rządzić? Sunnici czy szyici, Kurdowie czy Baas? Czy należałoby dopuścić do władzy muzułmańskich fundamentalistów? I jak długo Amerykanie musieliby zostać w Bagdadzie, zanim nowy rząd by się ustabilizował? Co nastąpiłoby po wycofaniu wojsk amerykańskich? Na jakie straty gotowe byłyby Stany Zjednoczone? Uważam, że popełnilibyśmy błąd pakując się w to irackie bagno. Poza tym, jakich jeszcze strat amerykańskich wart jest Saddam? Odpowiedź brzmi – naprawdę niewielkich.” [3] Tę wyważoną opinię sformułował ówczesny sekretarz obrony USA, Richard Cheney. Dzisiaj – wiceprezydent...

Ci, którzy podówczas opowiadali się za „zmianą reżimu” w Bagdadzie, mogli przez następne ponad 10 lat pocieszać się nałożonymi na Irak sankcjami. Utworzyli grupę nacisku, przede wszystkim „Project for the New American Century”, i stopniowo budowali polityczne zaplecze przyszłego ataku na Irak, czekając na sprzyjające okoliczności. Izrael mógł być zadowolony, że odstąpiono od śmiałej propozycji, rzuconej

przez sekretarza stanu USA Jamesa Bakera na konferencji izraelsko-arabskiej w Madrycie (październik 1991 r.), by Stany Zjednoczone nawiązały oficjalne stosunki dyplomatyczne z Palestyną. „Proces pokojowy” po 1996 r. był tylko pretekstem do zwiększenia liczby osadników na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Tymczasem w Afganistanie, położonym we wschodniej części „łuku napięcia”, wojna dobiegała końca. Toczyły się rozgrywki między dowódcami Sojuszu Północnego a talibami. Po zakończeniu zimnej wojny zwycięskie Stany Zjednoczone znalazły mocne oparcie w Pakistanie, który stopniowo wchodził na drogę militaryzacji i islamizacji życia politycznego i dla którego muzułmański Afganistan stanowił ważne zaplecze w konflikcie z Indiami. Zwycięstwo talibów w Afganistanie zostało więc w raportach armii pakistańskiej bardzo pozytywnie przedstawione, a Islamabad mógł teraz umacniać związki z nowymi władzami sąsiedniego kraju.

Przez kilkadziesiąt lat Stany Zjednoczone w żaden sposób nie liczyły się z dążeniami ludów arabskich i muzułmańskich. Wdrażano strategię, mobilizowano armie, zawiązywano i rozwiązywano sojusze. Na ziemiach ludów arabsko-muzułmańskich toczyły się wojny i przelewano ich krew, ale zawsze stały za tym jakieś interesy Stanów Zjednoczonych. Wyraźnie świadczą o tym wewnętrzne sprzeczności i ciągłe zmiany postaw wobec Iraku, Iranu, fundamentalizmu sunnickiego i szyickiego, idei dżihadu, dyktatury, demokracji, monarchii absolutnej, Jasera Arafata i OWP, kolonii izraelskich, „procesu pokojowego” itd. Stany Zjednoczone angażowały się w sprawy regionu, kierując się tylko i wyłącznie swoimi własnymi celami – czasem chodziło o zaopatrzenie w ropę, czasem o zimną wojnę, innym razem o amerykańską hegemonię i popieranie Izraela. Kiedy tylko udawało się osiągnąć któryś z tych celów, Stany natychmiast zapominały o troskach Arabów i muzułmanów, na które wcześniej się powoływały, by zapewnić sobie ich wsparcie i pomoc.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej obraźliwego dla świata arabsko-muzułmańskiego od słynnej wypowiedzi Zbigniewa

Brzezińskiego, wygłoszonej na trzy lata przed atakami 11 września 2001 r. Na sugestię, że – biorąc pod uwagę, iż dzięki amerykańskiej pomocy, udzielonej w celu sprowokowania inwazji sowieckiej w Afganistanie, utworzył się potężny ruch na rzecz dżihadu – mógłby kiedyś zacząć żałować którejś ze swoich decyzji, odparł on: „Żałować? Czego...? Co jest ważniejsze z punktu widzenia historii świata? Dojście do władzy talibów czy upadek imperium sowieckiego? Kilku podekscytowanych muzułmanów czy wyzwolenie Europy Środkowej i koniec zimnej wojny?” [4]

Taki jest właśnie kontekst wydarzeń, które w ciągu ostatnich pięciu lat „zmieniły oblicze świata”: ataków z 11 września w Nowym Jorku oraz amerykańskiej inwazji na Irak i okupacji, które po nich nastąpiły. W 2003 r. jedynym możliwym „zwycięstwem” amerykańskim mogło być utworzenie stabilnego, jednolitego, demokratycznego państwa, które nie byłoby teokratyczne, a przede wszystkim – okupowane. Ta bardzo trudna rozgrywka została przegrana. Według pewnego emerytowanego generała amerykańskiego była to nawet „największa katastrofa strategiczna w historii Stanów Zjednoczonych” [5]. I nieodwracalna. Wygrał na tym przede wszystkim Iran. Dzięki amerykańskiej strategii niszczenia armii i struktur reżimu Baas, Teheran pozbył się swojego odwiecznego wroga, a zaufanie, jakim Amerykanie obdarzyli duchownych szyickich, wzmocniło znajdujących się w Iraku sprzymierzeńców Iranu. W ten sposób Waszyngton przyczynił się do wzrostu potęgi państwa, które przedstawiał jako swojego wroga.

Konsekwencje były bardzo poważne zarówno dla Stanów Zjednoczonych, jak i dla świata arabsko-muzułmańskiego. Laicki i lewicowy nacjonalizm arabski, który dotychczas wyznaczał ideologiczne ramy sprzeciwu wobec dominacji Zachodu, ustąpił miejsca ruchom religijnym, dla których taki sam opór wynika z pozycji głęboko konserwatywnych. Spory polityczne dotyczące narodowej niepodległości i dróg rozwoju zostały rozmyte w konfliktach religijnych, kulturowych, wspólnotowych. Zachód zresztą wielokrotnie popychał świat arabski w stronę tego

właśnie paradygmatu. Porażka Stanów Zjednoczonych w Iraku pozwala dziś Teheranowi wznieść wyżej pochodnię arabskiego nacjonalizmu pod sztandarami islamu.

Republika islamska okazała się potężną bronią na ukształtowanym ostatnio froncie walk, który połączył nacjonalizm arabski i narastającą falę religijnych ruchów oporu. Ma w ręku wielkie atuty: możliwość ułatwienia lub utrudnienia sytuacji wojsk amerykańskich. Mogła też dzięki sprzymierzeńcom z Hezbollahu przyczynić się do porażki Izraela w Libanie oraz przyjść z pomocą Palestyńczykom, wspierając działania Hamasu. Jej wpływy sięgają obszarów roponośnych Zatoki Perskiej i Arabii Saudyjskiej z większością szyicką. Co więcej, republika islamska jest w stanie wypełnić ogromną próżnię, jaka powstała wskutek unicestwienia systemu państwowego Iraku, a także przejąć dominację w regionie, zaważyć na konflikcie izraelsko-palestyńskim i zmienić charakter odwiecznych relacji między szyitami a sunnitami.

Groźby ze strony Stanów Zjednoczonych i Izraela, przede wszystkim dotyczące użycia sił zbrojnych, spowodowały tylko strategiczne wzmocnienie Iranu i utwierdziły go na pozycji awangardy arabsko-muzułmańskiego ruchu oporu. Tym bardziej, że Waszyngton i Tel Awiw stają wobec sprzeczności – są przekonane o konieczności interwencji zbrojnej, ograniczonej oczywiście do bombardowania z powietrza i operacji sił specjalnych. Z drugiej strony wiadomo, że taki atak nie doprowadzi nigdy do obalenia reżimu. Czy z tego właśnie powodu prezydent i wiceprezydent Stanów Zjednoczonych biorą pod uwagę użycie broni jądrowej? [6] Z pewnością konsekwencje takiego kroku na Bliskim Wschodzie, jak zresztą na całej kuli ziemskiej, byłyby nieprzewidywalne. Ale Stany Zjednoczone muszą przecież odzyskać wiarygodność i status mocarstwa sięjącego postrach wśród państw całego świata.

Inna koncepcja, jaką bierze się pod uwagę w Waszyngtonie, polega na wykorzystaniu podziałów religijnych i pomocy ze strony Arabii Saudyjskiej. Wchodzą tutaj w grę dwie

przeciwstawne tendencje. Pierwsza opiera się na dążeniu do zbliżenia między sunnitami i szyitami, zwłaszcza od czasu wojny w Libanie latem 2006 r. Konflikt ten ujawnił istnienie powiązań między Iranem a Hezbollahem oraz, w nieco mniejszym stopniu, Hamasem. Przy okazji zaś uczynił Hassana Nasrallaha bohaterem całego świata arabskiego. Poważni sunniccy teologowie zaczęli twierdzić – jest to fakt bez precedensu – że różnice między nimi a szyitami dotyczą mniej istotnych aspektów religii, raczej foru niż osuł [7]. Jednocześnie jednak uwyraźnia się druga tendencja – pomiędzy tymi dwoma odgałęzieniami islamu narastają napięcia, co jest szczególnie widoczne w okupowanym Iraku. Tym bardziej, że ludność szyicka, mieszkająca od wieków w niektórych rejonach strategicznych, dyskryminowana jest przez sunnicką władzę, i stąd tak bujnie rozkwita jej niechęć i gniew. Z kolei wskutek ekscesów bojówek szyickich i haniebnej egzekucji Saddama Husajna niechęć ze strony sunnitów wciąż narasta.

Wśród amerykańskich polityków pojawił się zatem pogląd, że Arabia Saudyjska mogłaby poprzeć sunnicki ruch przeciwko szyickim odszczepieńcom. Władze saudyjskie niechętnym okiem patrzą na rosnące wpływy teologii szyickiej i republiki islamskiej w regionie. Rząd w Rijadzie już teraz zadeklarował, że jeśli okaże się to konieczne, będzie bronić sunnitów w Iraku. Czy Arabia Saudyjska i kraje Zatoki Perskiej, Egipt, Jordania, Kurdowie iraccy i libańscy oraz Fatah mogą stanowić przeciwwagę dla szyckiego Iranu, alawickiej Syrii oraz ich sprzymierzeńców z libańskiego Hezbollahu i palestyńskiego Hamasu? Chcąc zachować wiarygodność, „umiarkowani” muzułmanie powinni teraz przedstawić sprawiedliwe i szybkie rozwiązanie problemu palestyńskiego. Stany Zjednoczone i Izrael raczej nie będą skore do kompromisu.

Jednak przyjęcie tej strategii wywołałoby w świecie arabskim wojnę, polegałoby bowiem na wykorzystywaniu napięć między wyznaniem muzułmańskimi i sianiu niezgody w regionie na korzyść Stanów Zjednoczonych i Izraela. A jakie ugrupowania

muzułmańskie, sunnickie i antyszyickie miałyby otrzymać wsparcie? Zachodnia, nawet amerykańska, opinia publiczna szybko musiałaby ze zgrozą zdać sobie sprawę, że oto rząd USA znowu tworzy „uzbrojonych salafickich bojowników dżihadu” – Al-Kaidę pod nowym imieniem. Taki scenariusz nie mógłby prowadzić do „zwycięstwa”, ale do serii kolejnych konfliktów.

KONSTRUKTYWNA NIESTABILNOŚĆ

Neokonserwatyści nazywają to strategią konstruktywnej niestabilności (lub twórczej destrukcji), ale inteligentny obserwator określi to, pewnie bardziej adekwatnie, jako strategię destrukcji państwowości („państwobójstwo”) [8]. Taką taktykę Stany Zjednoczone przyjęły w Libanie i w Palestynie. I – jeśli przyjrzeć się результатам, a nie deklarowanym intencjom – łatwo zrozumieć, dlaczego Arabowie i muzułmanie uważają, że polityka amerykańska na Bliskim Wschodzie nie służy ratowaniu „upadających państw”, ale ich tworzeniu.

Napaść na Liban nie tylko spowodowała straszne zniszczenia kraju, ale skończyła się również taktyczną porażką. Izolacja Izraela zarówno wśród państw arabskich, jak i na całym świecie wzrosła, a Hezbollah w najmniejszym stopniu nie utracił swobody kontaktowania się ze swoimi bojownikami, komunikowania się przez radio czy telewizję ze społeczeństwem, publicznego oskarżania najeźdźców o wyrządzone przez nich szkody i wystrzeliwania rakiet na Izrael [9]. Izraelczycy nie osiągnęli żadnego z celów, jakie miała im przynieść ta napaść – ani nie rozbroili Hezbollahu, ani nie odbili swoich żołnierzy.

Pojawia się więc pytanie, czy jeśli chodzi o Izrael w Libanie i USA w Iraku, mocarstwa te pogodzą się ze swoją porażką, czy raczej podwoją stawkę. Czy porażki te stanowią zapowiedź wojen nowej generacji, czy raczej są tylko tymczasowe? Jedno jest pewne: nieaktualny okazał się zachwalany podczas wojen w Zatoce (1990-1991) i na Bałkanach model wojny, w której zwycięstwo uzyskuje się bez ofiar, polegający na masowych bombardowaniach i użyciu ultranowoczesnej broni. Konieczna

okazała się długoterminowa kontrola nad zdobywanymi terytoriami i podporządkowanie sobie ludności, czego nie da się osiągnąć za pomocą sił powietrznych. Wymaga to wielkich kosztów politycznych i ofiar w ludziach.

Waszyngton słono już zapłacił za swój udział w tej wojnie. Chwila, gdy libański premier Fouad Siniora błagał ze łzami w oczach Stany Zjednoczone, by nie pozwoliły niszczyć jego kraju, mogła być uznana za przełomową. Działania rozpoczęte 14 marca i „cedrowa rewolucja” zwyciężyły przecież dzięki wsparciu Białego Domu, a prezydent Bush głośno chwalił inicjatywę Libańczyków, mówiąc, że jest to droga, na którą wkroczyć powinien cały świat arabski. Kiedy jednak Izrael postanowił dać Libanowi nauczkę, Siniorę pozostawiono samemu sobie, a Waszyngton nie tylko przez miesiąc nie dopuszczał do zawieszenia broni, ale wręcz zaopatrywał armię izraelską w pociski burzące.

Skutkiem było, jak to określił Siniora, „niewyobrażalne” zniszczenie całej infrastruktury cywilnej Libanu [10] i osłabienie pozycji rządu. Hezbollah chce teraz odgrywać poważniejszą rolę polityczną i organizuje – konkurując w tym z „cedrową rewolucją” – wielkie demonstracje uliczne. Są one tłumne, pokojowe, zdyscyplinowane, oparte na wzorcach promowanych przez USA i zachodnią Europę. Inaczej niż to było podczas inwazji izraelskiej, Stany Zjednoczone „nie boją się zająć stanowiska” w tym konflikcie: podwoiły pomoc udzielaną armii libańskiej oraz Siłom Bezpieczeństwa Wewnętrznego, które prowadzą intensywną rekrutację wśród sunnitów i Druzów. [11]

Te działania, choć w Stanach Zjednoczonych niewiele się o nich mówi, są szeroko krytykowane w prasie arabskiej, izraelskiej i światowej. Po wojnie Izraela przeciw Libanowi naprawdę trudno będzie przekonać świat arabski, że Stany Zjednoczone nie są gotowe zdradzić każdego sojusznika i porzucić wszelkie zasady sprawiedliwości, byle tylko wspierać Tel Awiw.

Niszczenie infrastruktury, burzenie porządku społecznego i

osłabianie stabilności politycznej, prowokowanie konfliktów wyznaniowych i wojny domowej... Kiedy wydarzenia w Iraku zaczęły coraz wyraźniej przybierać taki właśnie obrót, wydawało się, że był to nieprzewidziany przez Waszyngton wypadek przy pracy. Obserwując niemal identyczną sytuację w Libanie, można było podejrzewać nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Gdy jednak identycznym torem toczą się sprawy w Palestynie, wielu obserwatorów nie waha się już mówić o „wzorcu” strategii amerykańskiej.

Na terytoriach palestyńskich pogłębia się klęska humanitarna na niezwykle szeroką skalę. Od chwili zwycięstwa Hamasu w wyborach ze stycznia 2006 r. Stany Zjednoczone i Unia Europejska popierały Izrael, który usiłował głodem zmusić Palestynę do odrzucenia demokratycznie wybranego rządu. Łatwo przewidywalne rezultaty takich działań to załamanie się porządku społecznego i wybuch wojny domowej.

Pewien uważny amerykański obserwator tak opisuje tamtejszy pejzaż: „Palestyńczycy ze Strefy Gazy żyją zamknięci w brudnym i przeludnionym getcie, otoczeni izraelskim wojskiem i potężnym elektrycznym ogrodzeniem. Nie mają możliwości opuszczania terenu getta ani wchodzenia do Strefy Gazy. Ataki zbrojne są na porządku dziennym. (...) Na ulicach Gazy Palestyńczycy codziennie mijają ruiny swojego ministerstwa spraw wewnętrznych, ministerstwa spraw zagranicznych, ministerstwa gospodarki, urzędu premiera oraz kilku instytucji oświatowych – zbombardowanych przez izraelskie lotnictwo. Te ruiny są zawsze obecnym znakiem dążenia Izraela do załamania ładu społecznego i prawnego, zasiania nieporządku i maksymalnego zubożenia ludności palestyńskiej. (...) Tymczasem Zachodni Brzeg szybko popada w równie głęboki kryzys. (...) Na co liczą Stany Zjednoczone i Izrael, robiąc z Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu miniaturową wersję Iraku? (...) Czy wierzą, że uda im się w ten sposób osłabić terroryzm, powstrzymać ataki samobójcze i przywrócić pokój?” [12]

Kolejną barierę przekroczone, gdy Stany Zjednoczone zaczęły

przy pomocy Izraela dostarczać broń „bojownikom Force 17, działającej w Gazie organizacji związanej z Mohammedem Dahlanem, najważniejszym człowiekiem Fatahu”. Według oficjalnych przedstawicieli izraelskich i palestyńskich służb bezpieczeństwa: „dzięki tym amerykańskim dostawom rozwinął się handel bronią z Hamasem” [13].

Stany Zjednoczone, niezależnie od tego, jakie były ich intencje, w trzech krajach, wskazanych przez Izrael jako główne ośrodki oporu wobec jego ambicji terytorialnych, stosują tę samą politykę. Jest to polityka rozsiewania społecznego zamętu i prowokowania konfliktów prowadzących do wojny domowej. W Izraelu rośnie w siłę skrajnie prawicowy syjonizm, dążący do podporządkowania Palestyńczyków albo wysiedlenia ich ze wszystkich terenów, które Izrael miałby ochotę zająć. By to osiągnąć, trzeba najpierw maksymalnie osłabić zbyt krnąbrnych sąsiadów. Dość przerażający, choć niekoniecznie zaskakujący jest fakt, że tacy fanatycy zajmują wysokie stanowiska w rządzie izraelskim. A już naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego Waszyngton ma podążać tą samą drogą destrukcji i autodestrukcji, a wręcz chce być jej współarchitektem w imię fałszywie rozumianej przyjaźni dla państwa Izrael.

Jeśli bowiem Stany Zjednoczone rzeczywiście byłyby przyjacielem Izraela, nie tylko nie poszłyby tą drogą, ale też podzielałyby punkt widzenia pewnej izraelskiej obserwatorki: „Polityka Izraela zagraża nie tylko Palestyńczykom, ale i samym mieszkańcom Izraela... Małe żydowskie państwo z 7 milionami mieszkańców (z tego 5,5 miliona Żydów) otoczone 200 milionami Arabów zrobiło sobie wrogów w całym świecie arabskim. Takie państwo nie ma żadnych gwarancji przetrwania. Ocalenie Palestyńczyków oznacza również ocalenie Izraela.” [14]

POWRÓT TALIBÓW

Wygląda na to, że nie tylko na Bliskim Wschodzie szykuje się

porażka Stanów Zjednoczonych. Również nieco dalej na wschód, w Afganistanie, USA poddane zostały ciężkiej próbie. Po 11 września nikt nie miał wątpliwości, że Waszyngton ma prawo ścigać Osamę Bin Ladena i Al-Kaidę. Jednak decyzja o rozpoczęciu wielkiej operacji wojskowej angażującej NATO i zmierzającej do całkowitej przebudowy politycznej infrastruktury kraju była zbyt ryzykowna. Aby doprowadzić do koniecznych zmian w afgańskim społeczeństwie, potrzebne byłoby decydujące zwycięstwo militarne, a później ogromne zaangażowanie polityczne i wielkie nakłady finansowe, utrzymywane przez dłuższy czas. A wszystko to powinno zostać przeprowadzone w oparciu o partnerów lokalnych, cieszących się zaufaniem w kraju i skłonnych wejść się na drogę reform.

Stany Zjednoczone, licząc na szybkie rezultaty w działaniach wojennych, zdały się na dowódców Sojuszu Północnego, a w polityce na importowanego prezydenta, starającego się zaimprovizować w Kabulu coś w rodzaju rządu. Nie były w stanie pochwyć przywódców Al-Kaidy ani talibów, i szybko przeniosły się z terytorium Afganistanu do Iraku. Tymczasem Bin Laden i Ajman Zawahiri nadal rozprowadzali swoje kasety z nagraniami przemówień, a talibowie utrzymujący ścisłe związki z plemionami pasztuńskimi po obu stronach granicy pakistańsko-afgańskiej wyrosli na prawdziwe zagrożenie dla wojsk NATO, zamkniętych w swoich obozach i wychylających się z nich jedynie od czasu od czasu, by zaatakować oddziały wroga lub przeprowadzić atak bombowy [15]. Pakistański minister spraw zagranicznych stwierdził wręcz, że NATO powinno „pogodzić się z porażką” i wycofać wojska.

Akcję, która miała być czystą i szlachetną walką wydaną Al-Kaidzie, Waszyngton przeprowadził tak niezręcznie, że całkowicie zboczyła z początkowo wyznaczonego kursu. Nie tylko ze względu na polityczne i plemienne skomplikowanie sytuacji w Afganistanie, ale również z racji niebezpiecznej i złożonej gry prowadzonej przez Pakistan, który w zaciętej walce o Kaszmir potrzebował muzułmańskich sojuszników. Islamabad

weswał w związku z tym NATO i rząd afgański do zaakceptowania nieuniknionej obecności w Afganistanie „umiarkowanych talibów”, którym zresztą przekazał nawet kontrolę nad jedną z prowincji, Waziristanem Północnym. Tak powstała baza wypadowa, z której „już nie całkiem umiarkowani talibowie” mogą atakować żołnierzy NATO. Zaczęto się nawet – co było w tym kraju rzeczą wcześniej niespotykaną – uciekać do „zamachów samobójczych”. A zatem związki z Irakiem okazują się rzeczywistością. „Wojna z terroryzmem” uzależniła Stany Zjednoczone od Pakistanu, który z kolei sam był w formalnym sojuszu z radykalnym islamem. A jeśli „pakistanizacja” Al-Kaidy zmienia się w „al-kaidyzację” Pakistanu? Amerykańskie media lekceważą to niepokojące zjawisko...

„Łuk napięcia” rozciąga się zatem od krajów Lewantu aż po subkontynent indyjski. W ciągu najbliższych miesięcy przede wszystkim w Waszyngtonie zapadną decyzje, które albo jeszcze bardziej rozjątrzą trwający kryzys, albo wprowadzą go na nowe ścieżki, umożliwiające znalezienie rozsądnych rozwiązań. Aby jednak doszło do takiego przełomu, zachodni politycy będą musieli zrozumieć, że Al-Kaida, Baas, Hezbollah, Hamas, Syria oraz Iran nie mogą być wszystkie oznaczane tą samą ideologiczną nalepką i sprowadzane do jakiejś abstrakcyjnej „osi zła”. Istnieją, owszem, związki pomiędzy poszczególnymi konfliktami, ale należy także próbować wyodrębnić i pozbawić mocy te elementy, które je różnią.

Syria jest krajem, który nie stanowi zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych, za to kilkakrotnie przyszedł im z pomocą oraz ma w tej grze swoje własne narodowe interesy. Należałoby podpisać z nią ugodę o ewakuacji wzgórz Golan, których okupacja przez Izrael nie przedstawia dla USA żadnych korzyści. Podobnie Hezbollah w Libanie i Hamas w Palestynie działają przede wszystkim w imię własnych interesów narodowych. Stany Zjednoczone mogłyby więc pozbyć się części problemów i wreszcie posunąć się naprzód w walce o własne cele, w tym również o doprowadzenie do upadku prawdziwego

fanatycznego „terroryzmu”. Musiałyby jednak przyznać, że wszystkie te ugrupowania nie są wcale filiami czy odgałęzieniami Al-Kaidy i nie staną się nimi, podobnie jak Wietnam nie był narzędziem w rękach „imperium zła”. Po podjęciu rozmów i rokowań mogłoby się okazać, że z każdym z tych państw i organizacji można dojść do porozumienia.

Pojawiają się głosy wpływowych osób z samego centrum amerykańskiego systemu politycznego, które domagają się zmiany kursu – raport Bakera i Hamiltona był tego najbardziej oczywistym wyrazem. Z kolei były prezydent Jimmy Carter wezwał do rozpoczęcia uczciwej debaty o amerykańskiej polityce w Palestynie. Aby naprawić popełnione krzywdy, należy przyznać, że podjęto niewłaściwe decyzje, a następnie zmierzać w kierunku zmiany kursu politycznego. Wymaga to jednak porzucenia pomysłu, że samo tylko rzucenie do akcji sił zbrojnych przez jedną ze stron konfliktu może rozwiązać złożone problemy społeczne i polityczne. Wymaga również rezygnacji z bezwarunkowego wspierania państwa Izrael oraz, przede wszystkim, wyjścia poza stanowisko, że różne narody i ludy świata muzułmańsko-arabskiego są tylko wymiennymi elementami układanki wpisującymi się w ten sam ideologiczny schemat i można je dowolnie przedstawiać – czy to wedle potrzeb wielkich mocarstw, czy dla zaspokojenia ambicji terytorialnych izraelskich osadników, czy wreszcie dla spełnienia fantastycznych mrzonek Al-Kaidy o muzułmańskiej ummie.

Autor: Hiszam Ben Abdallah El Alawi

Na podstawie odczytu wygłoszonego na Uniwersytecie Kalifornijskim (29.01.2006)

Tłumaczenie: Magdalena Kowalska

Źródło: [„La Monde diplomatique” nr 2 \(12\) 2007](#)

PRZYPISY

1. Robert Dreyfuss, Devil's Game: How the United States Helped Unleash Fundamentalist Islam, Metropolitan Books, Nowy Jork 2005, s. 240.

2. Zob. Pierre Abramovici, „Histoire secrete des négociations entre Washington et les talibans”, Le Monde diplomatique, styczeń 2002.

3. Sorel Symposium, 29 kwietnia 1991.
<http://web.archive.org/web/20041130090045>
<http://www.washingtoninstitute.org/pubs/soref/chene.htm>.

4. Le Nouvel Observateur, 15-21 stycznia 1998.

5. William E. Odom, „What’s wrong with Cutting and Running?”, Nieman Watchdog, 3 sierpnia 2005,
http://niemanwatchdog.org/index.cfm?fuseaction=ask_this.view&skthisid=129.

6. Jorge Hirsch, „Nuking Iran is Not Off the Table”, 6 lipca 2006, www.antiwar.com/orig/hirsch.php?articleid=9255. Philip Giraldi, „Deep background”, The American Conservative, Arlington, VA (USA), 1 sierpnia 2005.

7. Foru oznacza „gałąź”, osuł – „źródło”.

8. Sarah Shields, „Staticide, not civil war in Iraq,” Common Dreams.org, 8 grudnia 2006,
<http://www.commondreams.org/views06/1208-32.htm>.

9. Alastair Crooke, Mark Perry, „How Hezbollah defaeted Israel”, Counterpunch.org, 12-13 października 2006,
<http://www.counterpunch.org/crooke10122006.html>.

10. „Siniora criticises West for failing model democracy”, Los Angeles Times-Washington Post, 21 lipca 2006.

11. US Considers New Aid to Lebanese Armed Forces, „The Chosun Ilbo” (Voice of America), 12 grudnia 2006 (<http://english.chosun.com/w12data/html/news/200612/20061260010.html>) Zob. też: Megan K. Stack, „Lebanon builds up security forces”, Los Angeles Times, 1 grudnia 2006.

12. Chris Hedges, „Worse than Apartheid”, Truthdig.com, 18

grudnia 2006,
http://www.truthdig.com/report/item/20061218_worse_than_apartheid/.

13. Aaron Klein, „U.S. weapons prompt Hamas arms race?“, WorldNetDaily, 18 grudnia 2006,
http://www.wnd.com/news/article.asp?ARTICLE_ID=53411.

14. Tanya Reinhardt, „The Road Map to Nowhere – Israel/Palestine since 2003“
(www.zmag.org/content/schowarticle.cfm?ItemID=11140).

15. Zob. Syed Saleem Shahzad, „Comment les talibans ont repris l’offensive“, Le Monde diplomatique, wrzesień 2006.